

1

IGOR



JAK SPEŁNIŁO SIĘ MOJE MARZENIE (NIESTETY)

Jeśli wydaje się wam, że Indiana Jones jest typowym archeologiem, mylicie się. Jeśli wyobrażacie sobie, że wakacje spędzane na wykopaliskach są super i przeżywa się na nich niesamowite przygody, to mylicie się jeszcze bardziej. Takie w każdym razie doświadczenia wyniosłem z kilku lat towarzyszenia mojemu tacie podczas jego wakacyjnych wyjazdów w teren. Miałem więc wszelkie podstawy, by zakładać, że w tym roku będzie jak zawsze.

Przywykłem już do przesiewania ziemi w poszukiwaniu kawałczków czegoś, co było wiele lat temu broszką (fachowo nazywa się to fibula), albo okruchów jakiegoś prastarego garnka. Przestałem się nawet dziwić, że dorośli ludzie robią wielkie halo z powodu ciemniejszych plam ziemi i na serio rozprawiają godzinami, czy były to słupy, czy paleniska.

Wiem, że zamiast kryształowych czaszek, złotych figurek czy świętych kielichów znajduje się zazwyczaj potłuczone gliniane naczynia, które nawet za swojego żywota były krzywo wytoczone i brzydkie. Ale ci ludzie, znaczy archeologowie, rozczulają się nad nimi, jakby to były... no, niemal takie cuda, jakie Indy znajduje na każdym kroku.

Jak na ironię tato miał nawet takie przezwisko na studiach: Witold „Jones” Gajewski. Teraz woli o tym nie pamiętać. Wszyscy wróżyli mu wielką karierę, ale coś poszło nie tak.

Mamy nigdy nie znałem. Tato twierdzi enigmatycznie, że odeszła, kiedy się urodziłem. Ale jakiś czas temu zwróciłem uwagę na adnotację „matka nieznaną” w moim akcie urodzenia. Jasne. Tato bywa trochę zakręcony, ale żeby nie wiedzieć, kto jest matką własnego syna? To już coś więcej. Co gorsza, kiedy go raz zapytałem (złośliwie, przyznaję), czy znalazł mnie pewnego dnia na wycieracze z karteczką informującą, że jestem jego synem, on tylko rzucił mi znużone spojrzenie – oczywiście przeglądał, jak zwykle, stare dokumenty – skinął potakująco głową i mruknął: „Mniej więcej”. Po czym wrócił do książki czy rękopisu, czy co tam akurat czytał.

Niestety zdążyłem się już dowiedzieć, że o ile w miarę łatwo ukryć tożsamość ojca, o tyle mamy zazwyczaj rodzą dzieci w szpitalach, więc trudniej jest im pozostać anonimowymi. Mojej najwyraźniej się udało. Oczywiście niektórzy koledzy wyśmiewali się, że nawet własna matka mnie odrzuciła. Kiedy poskarżyłem się tacie, odwrócił wzrok i powiedział drżącym głosem, że mama była dobrą osobą i chciała jak najlepiej. Tyle zdołałem z niego wyciągnąć. Zastanawiałem się, czy może była narkomanką albo coś w tym rodzaju i wołała nie mieć złego wpływu na dziecko, ale nigdy więcej nie odważyłem się o to pytać. Zwłaszcza że i tak wołałbym ją znać.

Tato jest super, bardzo go kocham i nie zamieniłbym na żadnego innego, problem tylko w tym, że on często nie do końca wie, czego może potrzebować dziecko. Gdy byłem mały, opiekowali się mną głównie dziadkowie, u których mieszkaliśmy, a od kiedy przeprowadziliśmy się do Krakowa, w domu jest ciotka Helena – mieszkamy u niej, bo została całkiem sama po śmierci siostry. Ciotka wprawdzie ledwie słyszy (urodziła się przed drugą

wojną światową!), a kiedy się źle czuje, to przejście przez mieszkanie zajmuje jej pół dnia, ale gotuje wspaniałe obiady, czego nie da się powiedzieć o tacie.

Wiem, że ojciec miał w życiu sporo problemów. Moja mama i podrzucone dziecko musiały do nich należeć. Poza tym nie dostał pracy na uczelni, ponoć z powodu jakichś nieprawidłowości na wykopaliskach, które prowadził, ale ja myślę, że przyczyną było coś innego – jego naukowa pasja (czytaj: obsesja). Jeszcze do niej wrócę.

Dlatego długo mieszkaliśmy w małym miasteczku w Beskidach z babcią i dziadkiem, a tato pracował w muzeum w mieście powiatowym. Widywałem go głównie wieczorami. Rok temu, kiedy kończyłem piątą klasę, dostał od kolegi ze studiów propozycję zatrudnienia w firmie archeo, co oznacza, że teraz głównie siedzi na budowach, gapi się w ziemię i pilnuje, żeby inwestor nie zniszczył jakichś bezcennych zabytków. Nie wiem, czy przez ten rok wypatrzył cokolwiek *naprawdę* cennego, ale przynajmniej przyzwoicie zarabia. Moglibyśmy więc czasem wybrać się w jedno z tych miejsc na całej ziemi, gdzie archeologowie odkrywają starożytne marmurowe świątynie, sfinksy i mumie, na plaży rosną palmy i nie ma zagrożenia dwoma tygodniami ulewy. (Deszcz oznacza zazwyczaj siedzenie na kwaterze – dobrze, jeśli jest to wynajęty u gospodarza pokój, a nie szkoła – i nastrój pogarszający się z każdym dniem).

Bo owszem, spędzamy zawsze sporą część wakacji na wykopaliskach – tato jeździ tam jako specjalista od Słowian. Wspominałem już o przesiewaniu ziemi i wpatrywaniu się w różnokolorowe plamy? Właśnie.

Dlatego w tym roku byłem mniej więcej równie zachwycony na myśl o wyjeździe co zawsze. Tato jednak sprawiał wrażenie *znacznie bardziej* zachwyconego niż zwykle.

– Spodoba ci się tam, Igor – powiedział. – Lasy, jezioro, a ty przecież lubisz pływać, prawda?

Prawda. Pływanie jest jedną z tych rzeczy, które naprawdę lubię. I jedynym sportem, w którym odnosiłem sukcesy... przez jakiś czas. Chodziliśmy na basen tylko w drugiej klasie, a potem na wuefie zaczęły się gry zespołowe, do których w ogóle nie mam talentu. Nie przepadam za sportami drużynowymi. I nie jestem zbyt lubiany w szkole, zwłaszcza teraz, po tym jak przyszedłem jako nowy do szóstej klasy, i to prosto z prowincji, o czym kole-dzy nie pozwalają mi zapomnieć.

Wszystko przez to, że pierwszego dnia pani od polskiego zapytała, co przeczytaliśmy podczas wakacji. Uczniowie zaczęli wymieniać *Harry'ego Pottera*, *Baśniobór* i tym podobne. Jedna dziewczynka powiedziała, że przeczytała wszystkie tomy *Ani z Zielonego Wzgórza*, na co większość klasy zareagowała pogardliwymi uśmieszkami. Kiedy przyszła moja kolej, powiedziałem prawdę, czyli że razem z tatą czytaliśmy średniowieczne kroniki, o ile nie było akurat ziemi do przesiewania ani zabytków do opisywania.

Klasa wybuchnęła śmiechem, a nauczycielka spojrzała na mnie z dziwną miną i nic nie powiedziała.

Przeżyłem więc jakoś szóstą klasę, a nawet udało mi się w sumie zaprzyjaźnić z Aliną, tą od *Ani*, chociaż ona jest trochę dziwna. Niemniej perspektywa spędzenia kolejnych dwóch lat z kolegami, którzy mnie nie lubią i wyśmiewają, jest przerażająca. Tato jednak nigdzie mnie nie przeniesie, bo ta szkoła jest blisko i należy do najlepszych w Krakowie. Poza tym przecież i tak wszędzie byłbym nowym z prowincji.

W ostatnim dniu lekcji pojawiła się szansa na zmianę sytuacji. Tym razem każdy miał opowiedzieć o planach na wakacje. Większość moich kolegów wyleguje się teraz na plażach Hiszpanii, Egiptu lub Grecji albo zakuwa na obozach językowych. Ponieważ nie bardzo umiem zmyślać (co w szkole bywa poważnym problemem, wierzcie mi), zapominając o katastrofie, jaką okazały

się wakacyjne lektury, oznajmiłem, że prawie całe lato spędzę na wykopaliskach. To był błąd.

Część dzieciaków uniosła głowy z zaciekawieniem, a w ich oczach ujrzalem nazwy „Egipt” i „Turcja”. Wtedy nauczycielka powiedziała:

– To fascynujące, Igorze. Możesz nam coś więcej opowiedzieć?

No więc opowiedziałem. W ten sposób moja klasa dowiedziała się, że nie leczę do Gizy, Aten ani chociażby Acapulco (choć tak naprawdę moim archeologicznym marzeniem są Pompeje – całe starożytne miasto zachowane po wybuchu wulkanu!), ale jadę naszym złomkiem na Kujawy.

Czy muszę dodawać, że klasa ryknęła śmiechem, a nauczycielka spojrzała na mnie z dziwną miną i nic nie powiedziała?

* * *

Te Kujawy powinny były od razu zwrócić moją uwagę i uruchomić jakiś alarm w głowie. Tato nie wybrałby na wakacje miejsca nad jeziorem, żeby zrobić mi przyjemność. Spędzaliśmy letnie miesiące tam, dokąd został zaproszony jako konsultant do spraw architektury słowiańskiej (już wicie: te ciemne plamy, bla, bla, bla) albo innych dziwnych rzeczy, na których się zna. To oznaczało wakacje w maleńkich wioskach w różnych zakątkach Polski, gdzie pole jakiegoś rolnika kryło w sobie prastare osady, widoczne jedynie dla specjalistów.

Nie zrozumcie mnie źle, właściwie wcale nie narzekałem. Lubię spacerować po lasach i łąkach, najchętniej z atlasem przyrodniczym w ręku. A choć nazwy roślin średnio wchodzi mi do głowy (nie potrafię zapamiętać, czym się różni buk od grabu, a macierzanka od maciejki), to na zwierzętach znam się całkiem nieźle. Nie boję się spotkania z dzikiem ani wielkim pajakiem (w sumie w Polsce nie ma naprawdę dużych pajaków, ale większość moich kolegów uważa, że zwykły krzyżak jest *ogromny*, i ucieka z krzykiem).

No i nigdy się nie zgubiłem w lesie, więc tato pozwala mi chodzić na spacer, kiedy znudzi mi się siedzenie na stanowisku.

Zawsze jednak brakowało mi towarzystwa. Tato i jego koledzy całymi dniami rozmawiali o tym, co wykopali, a dla studentów pracujących na wykopie zazwyczaj byłem maskotką przez kilka pierwszych dni, dopóki się nie przyzwyczaili. Poza tym uważali mnie za dziwaka, może dlatego że czytałem średniowieczne kroniki zamiast *Kubusia Puchatka* albo *Harry'ego Pottera*. No i znałem łacinę lepiej niż większość z nich, choć tak naprawdę wcale jej dobrze nie znam. Tyle, ile tato mnie nauczył z tych kronik.

W tym roku jednak miało być inaczej. Tato wynajął nam kwatery prywatną (wiecie, prawdziwy pokój z łazienką i wszystkim) kilka kilometrów od stanowiska. To oznaczało, że nie będziemy mieszkać ze studentami, którzy dostali do dyspozycji pobliską szkołę.

A kiedy dowiedziałem się, dokąd dokładnie jedziemy, stało się oczywiste, że tato zdołał osiągnąć jeden ze swoich celów. Wybieraliśmy się tym razem w okolicę, z którą łączyła się jego wspomniana przeze mnie wcześniej obsesja. Nie wiem, jak bardzo ślepy musiałem być, żeby nie dostrzec zagrożenia.

Kiedy przyjechalśmy na miejsce, nic nie zwiastowało problemów. Dom okazał się czysty, gospodyni przypominała mi nieco babcię, a na podwórku było mnóstwo zwierząt. Wśród nich wielki, łaciaty kot, który miauknął na mój widok, zeskoczył ze słonecznego miejsca na parapecie i zaczął się ocierać o moje nogi. Pani Janasik roześmiała się.

– Proszę, proszę, on przecież nikogo nie lubi! – zawołała. – To wyjątkowo niewdzięczne stworzenie, a patrzcie go!

Do tego też przywykłem. Zwierzęta mnie lubią i nie potrafię zrozumieć, dlaczego tato nie chce w domu żadnych zwierzątek. Dobra, mieszkanie nie jest bardzo duże, mimo że znajduje się w kamienicy blisko centrum, ale przecież zgodziłbym się choćby

na chomika lub świnkę morską. Myślę, że tato nie chce dodatkowego kłopotu dla ciotki. Wyjeżdżamy zazwyczaj na całe lato, ona ledwie się rusza, a nas raczej nie stać na opiekunkę do chomika. Jeśli w ogóle coś takiego istnieje.

Kocur, którego właścicielka nie obdarzyła imieniem, w związku z czym nazwałem go Melchiorem, natychmiast rozgościł się w naszym pokoju. Podobało mi się to, a tato nie protestował, więc uznałem, że wreszcie, po raz pierwszy będę miał na wakacjach wiernego towarzysza. Wkrótce jednak miało się okazać, że to nie leniwy Melchior będzie moim kompanem. Lada moment w moim życiu miał się pojawić zupełnie ktoś inny... Z początku nie wiedziałem, czy się cieszyć, czy uciekać.

* * *

To było trzeciego dnia naszego pobytu. Tato nie zabierał mnie na razie na stanowisko, więc jeszcze nie poznałem jego tego-rocznych kolegów. Gospodyni pokazała mi stół do ping-ponga w piwnicy, mogłem też spędzać czas na podwórku i w ogrodzie, ale dom stał na uboczu i miał tylko jeden pokój do wynajęcia, więc w pobliżu nie było żadnych rówieśników. Przez chwilę odbijałem piłeczkę od ściany, przez następną godzinę karmiłem kury, kaczki, gęsi i indyki, a potem postanowiłem się przejść. Tato na pewno nie wróci przed kolacją, którą gospodyni podawała nam na ganku, podobnie jak wszystkie posiłki przy ładnej pogodzie.

Jezioro nie było bardzo daleko, uznałem więc, że sprawdzę, czy da się w nim pływać. Dom znajdował się z dala od typowych atrakcji turystycznych, w zasadzie na skraju lasu. Okazało się, że brzeg gęsto porastają trzciny i pałka. W oddali było widać małe żaglówki i rowery wodne, ja jednak przyglądałem się zielonkawym falom, które sprawiały całkiem zachęcające wrażenie, mimo że dno było pewnie muliste i zdradliwe.

Wszedłem do wody, chcąc chociaż trochę pobrodzić. Zrobiłem kilka kroków, pochyliłem się i zanurzyłem ręce, chlapiąc nieco. Potem usiadłem na brzegu i spróbowałem puszczać kaczki. Zazwyczaj idzie mi to dobrze, ale dziś miałem wrażenie, że ktoś siedzi w jeziorze i droczy się ze mną, zbierając kamyczki z powierzchni, tak szybko znikają pod wodą. Wiercie mi albo nie, ale na moment mignęła mi nawet pod falami jakaś twarz. Pewnie nurek dowcipniś, pomyślałem, choć wyobraźnia sugerowała, że znacznie fajniej byłoby, gdyby była to zaklęta w żabę księżniczka.

Nagle krzaki za mną zaszeleściły. Dobiegające z nich dźwięki podpowiadały mi, że to dzik lub duży pies. Wyobraźcie sobie więc moje zdziwienie, kiedy gałęzie się rozchyliły i zobaczyłem ludzką istotę wpatrującą się we mnie z otwartymi ustami.

Z początku myślałem, że mam przed sobą dziwacznie wyglądającego chłopaka – pewnie przez krótko ostrzyżone włosy – ale to zdecydowanie była dziewczyna. Mniej więcej w moim wieku, ale wyższa i na pewno silniejsza ode mnie. Jej okrągła twarz o dość grubych rysach miała gniewny wyraz.

– Co ty tu robisz? – zapytała obcesowo, jakby to miejsce było jej własnością.

– Cześć – odpowiedziałem. – Mam na imię Igor.

Wzruszyła ramionami.

– Nie pytałam cię o imię, głuptaku. Pytałam, co tu robisz.

Wzruszyłem ramionami.

– Przypatruję się jezioru.

Przez chwilę mierzyła mnie wzrokiem zdradzającym ślad zainteresowania.

– To nudne – uznała w końcu. – Zabiorę cię do wieży, ona jest *dużo* ciekawsza.

Tak właśnie poznałem Hankę. W następnych tygodniach miałem wielokrotnie żałować, że tęskniłem za towarzystwem i przygodami. Już wkrótce zaczęły dzieć się dziwaczne rzeczy.